

**Paweł Beręsewicz**

**Kiedy  
CHODZIŁEM  
JULKA<sup>z</sup> Maj**



Paweł Beręsewicz  
**Kiedy chodziłem z Julką Maj**

© by Paweł Beręsewicz  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:  
Joanna Rusinek

Korekta i skład:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

**Wydanie II**

**ISBN 978-83-7672-176-7**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2014  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
faks (42) 632-30-24  
www.wyd-literatura.com.pl

## Rozdział pierwszy

Wieczór był ciepły jak na wrzesień. Pachnący latem. Czarodziejski. Szedłem chodnikiem, a obok mnie szła Julka Maj. Serce waliło mi jak oszalałe, a miękkie kolana z trudem niosły mój ciężar. Właściwie nie miałem już odwrotu. Spaliłem za sobą wszystkie mosty.

– Musimy koniecznie porozmawiać – wspomniałem Julce na samym początku dyskoteki, a ona uśmiechnęła się i powiedziała:

– No, słucham.

– Nie, nie! Nie tutaj! – zaprotestowałem czym prędzej.  
– To delikatna sprawa. Tutaj ktoś mógłby usłyszeć.

Przyjrzała mi się uważnie i lekko zmarszczyła ciemne brwi. Dla zyskania na czasie zgarnęła włosy z czoła, choć wcale nie miała ich na czole, i w końcu powiedziała cicho:

– No to może po dyskotecce, po drodze do domu?

– Okej! – rzuciłem i wmieszałem się w tłum.

Do końca dyskoteki nawet nie spojrzałem na Julkę. Nie wiem, z kim tańczyła i czy w ogóle tańczyła. Tak naprawdę nie wiem nawet, czy ja z kimś tańczyłem. Dyskoteka się nie liczyła. Liczyło się to, co po niej.

Kiedy muzyka umilkła i na wpół ogłuszone cienie zaczęły spływać z parkietu, wyszedłem przed szkołę i przyczaiłem

się za jedną z wysokich tuj posadzonych wzdłuż chodnika przed głównym wejściem do naszego gimnazjum. Było już po zmierzchu. Snop światła z latarni nad drzwiami omijał moją kryjówkę i czałem się w prawie zupełnych ciemnościach. Z emocji trzęsły mi się ręce, a zęby szczękały, zupełnie jakby to był listopad, a nie ciepły wrzesień.

Uspokój się, chłopie! – powtarzałem sobie w myślach.  
– Przecież nie chcesz nikogo zamordować ani obrabować.  
Uspokój się!

Nie działało. Właściwie żałowałem, że nie chodzi o morderstwo lub rozbój. Myślałem, że byłoby łatwiej.

Obok mojej tui przeszli Robert i Krzysiek. Przez chwilę słyszałem jeszcze, jak rozmawiają o jakichś głupotach, ale kiedy minęli furtkę i skręcili w prawo, ich głosy powoli umilkły. To była sprzyjająca okoliczność. Robert z Krzyśkiem mieszkali na tym samym osiedlu, co ja i Julka. Zwykle razem wracaliśmy do domu, kopiąc pustą puszkę po piwie z techniczną maestrią – a przynajmniej z miną Cristiano Ronaldo. Wyglądało na to, że tym razem miałem ich z głowy.

Odetchnąłem głęboko, ale nie był to wcale koniec kłopotów. Pozostawała przecież obstawa Julki – Kryśka i Ewelina. Te nie mieszkaly wprawdzie na naszym osiedlu, ale większość drogi chodziły razem z nami i odłączały się dopiero w ostatnim momencie – w każdym razie już po tak zwanym parczku, a to właśnie parczek był kluczowy w moim szaleńczym planie.

Po drugiej stronie tui znów zrobił się ruch.

– Idziesz, Julka? – usłyszałem głos Eweliny.

– Jeszcze nie, idźcie same – padła odpowiedź, a ja omal nie zawyłem z radości.

Ale Kryśka i Ewelina nie zamierzały tak łatwo dać się spławić.

– A co? Czekasz na kogoś? – podejrzliwie spytała ta pierwsza.

– Może i czekam.

– To poczekamy z tobą – zaofiarowały się obie, a ja już wiedziałem, od kogo bym zaczął, gdybym miał kiedyś zostać seryjnym dusicielem.

– Dzięki, nie trzeba – powiedziała Julka.

– Pewnie jakiś przystojniaczek, co? – domyślnie zamruczała Ewelina.

Wetknąłem ucho głęboko w tuję, żeby usłyszeć potwierdzenie, ale Julka nie powiedziała nic. Miałem nadzieję, że chociaż kiwnęła głową.

– Dobra, dobra, nie ściemniaj! – prychnęła Kryśka pewnie w odpowiedzi na jakąś minę albo niedbałe wzruszenie ramion.

– Weźcie, dajcie mi spokój! – zdenerwowała się w końcu Julka. – Po prostu Karaś ma do mnie jakąś sprawę, więc czekam!

– Karaś? – zdziwiła się Ewelina. – Przecież Karaś już poszedł. Widziałam, jak wychodził.

– Jak to: poszedł? – gniewnie parsknęła Julka. – Kpi sobie ze mnie czy co?

Zamknąłem oczy, nabrałem powietrza, przełknąłem ślinę, zacisnąłem zęby i wychynałem zza tui.

– A kuku! – powiedziałem dowcipnie, choć wcale nie było mi do śmiechu.

Julka spojrzała z ukosa na Ewelinę, która jednak wcale się nie spieszyła, tylko zawołała:

– O! Fajnie, że jesteś, Rybka! Nie będziemy musiały same iść przez parczek!

Julka popatrzyła tym razem na mnie. Pytała wzrokiem, co robić. To w końcu ja prosiłem ją o rozmowę i ja musiałem teraz podjąć decyzję. Byłem o krok od wpadnięcia w panikę. Czułem, że wszystko się wali. Grunt usuwał mi się spod nóg, a łzy wściekłości napływały do oczu... I wtedy zdarzyło się coś, co wcześniej przytrafiło mi się może raz, najwyżej dwa razy w życiu. Nagle, zupełnie nie wiadomo skąd, spłynęła na mnie fala samobójczej odwagi. „Banzai!” – wrzasnąłem w duchu i jak japoński kamikaze runąłem w otchłań, śmiejąc się śmierci prosto w twarz.

– Sorry, dziewczyny! – powiedziałem z lodowatym spokojem. – Mam sprawę do Julki. Musimy pogadać na osobności. Zobaczymy się jutro w szkole.

Efekt był piorunujący. Ewelina z Kryską nawet nie pisnęły. Najpierw zupełnie je zatkało, a kiedy już odzyskały oddech, zmyły się w ułamku sekundy. Zostałem sam na sam z Julką i wiedziałem, że już nie ma odwrotu.

– Mam nadzieję, że nikt ich nie napadnie w tym parczku – powiedziałem po chwili, choć tak naprawdę było mi to zupełnie obojętne.

– E tam! – mruknęła Julka.

Staliśmy chwilę w milczeniu. Julka podrzucała palcami niebieskie drewniane koraliki z naszyjnika, które czasami zaczepiały się o drugi od góry guzik jej bluzki, a czasem nie, i wtedy opadały z cichym grzechotem prawie do trzeciego. Nerwowo przestępowałem z nogi na nogę i od czasu do czasu spoglądałem w niebo.

– Ładne gwiazdy – zauważyłem w końcu.

– No – zgodziła się Julka. – I tak mrugają, co? Idziemy?

Kiwnąłem głową i ruszyliśmy wolnym krokiem. Po przejściu przez furtkę skręciliśmy w prawo. Jakiś czas towarzyszył nam szkolny płot, a potem ogrodzenia i bramy domków jednorodzinnych ustawionych rzędem wzdłuż ulicy. Nie mówiłem nic i Julka też milczała. Chodnikiem po drugiej stronie przemknął biegacz w opiętych czarnych spodniach. Minął nas pusty autobus. Na jednym z podjazdów trzasnął zamykany bagażnik jakiegoś samochodu.

– Ciepło dzisiaj – cicho powiedziała Julka. – Zupełnie jak w lipcu, nie?

– No – przytaknąłem.

Zbliżaliśmy się do parczku.

Chodnik razem z płotami i ulicą skręcał prostopadle w prawo, by dalej biec już swoją własną drogą. My zeszliśmy na jezdnię. Ominęliśmy kałużę z zeszłonocnego deszczu – ja z prawej, a Julka z lewej – i po chwili usłyszeliśmy pod nogami chrzęst żwiru na parkowej alejce. Po drugiej stronie parczku prześwitywały przez drzewa światła pierwszych domów naszego osiedla. Wiedziałem, że już czas, ale odwaga opuściła mnie równie niespodziewanie, jak wcześniej przyszła. Nie czułem się już jak kamikaze i to, co będzie potem, znowu zaczęło mnie obchodzić. To nie był parczek dla niezdecydowanych. Przeszliśmy raptem kilkadziesiąt kroków, a już większość drogi mieliśmy za sobą. Alejka niebezpiecznie zbliżała się do przeciwległej furtki i pierwsze promienie latarni stojącej przy ulicy zaczynały oświetlać chrzęszczący żwirek pod naszymi stopami.

– No to o co chodzi? – spytała wreszcie Julka.

## Rozdział drugi

A chodziło, z grubsza rzecz biorąc, o to, że Julka była fajna – z dziewczyn w naszej klasie w ogóle najfajniejsza, a i ze wszystkich innych dziewczyn też. To znaczy, żeby była jasność, nie znałem wszystkich innych dziewczyn, więc w zasadzie nie mogłem udowodnić, czy gdzieś tam na drugim końcu świata nie żyje jakaś fajniejsza. Nie potrafiłem tego rozsądnie wytłumaczyć, a jednak miałem w sobie jakąś dziwną, zupełnie nielogiczną pewność. Po prostu wiedziałem, że fajniejsza dziewczyna od Julki nie mogła się urodzić, a nawet gdyby się urodziła i tak nic by mnie nie obchodziła, bo nie byłaby Julką. Nie byłaby tą wysoką, zgrabną, długonogą brunetką o ciemnej cerze i brązowych oczach, w których kryła się siła, a jednocześnie rozbrajająca delikatność. Nie umiałaby powiedzieć: „Cześć, Jacek” takim przedziwnym miękkim tonem, który sprawiał, że i ja miękłem i przez kilkanaście sekund byłem niebezpiecznie podobny do roztopionego masła. Nie przechowywałbym tak troskliwie cudownej kolekcji jej uśmiechów, z tymi kilkoma najcenniejszymi, przeznaczonymi dla mnie i dla nikogo więcej. W każdym razie chodziło o to, że Julka mi się... no wiecie... podobała mi się.

Podobała mi się i to już od pierwszego dnia w pierwszej klasie, kiedy to wystraszeni i cichutcy zesłaliśmy się z różnych

podstawówek, żeby rozpocząć dorosłe życie w gimnazjum. Na początku podobała mi się tak trochę. Mając do wyboru chwilkę rozmowy z Julką albo grę w piłkę na boisku, decydowałem się jednak na piłkę. Julkę albo FIFĘ 2005 na komputerze – wybierałem FIFĘ. Julkę czy rower – tu miałem kłopot z wyborem. Ale już Julkę czy *Harry'ego Pottera* – zdecydowanie Julkę. Im dłużej chodziliśmy razem do szkoły, im więcej światła odbitego od jej ciemnych lśniących włosów docierało do moich oczu, im więcej skrzyżowaliśmy spojrzeń, tym bardziej szala moich wyborów przechylała się w stronę Julki. Pod koniec pierwszej klasy rower nie miał już szans. Pod koniec drugiej za jedno jej dobre słowo oddałbym FIFĘ w pakiecie z komputerem i biurkiem. Jeszcze tylko gra w piłkę nożną trzymała się jako tako.

W gimnazjum wie się już co nieco o świecie. Niejedną książkę się przeczytało, niejeden film obejrzało, niejeden sygnał odebrało od własnego dorodzącego ciała. Od niezliczonych lat i wieków było coś takiego w dziewczynach, co burzyło krew w chłopakach, a ci z kolei mieli w sobie to i owo, co przyciągało dziewczyny. To męskie i kobiece coś budziło się w nas właśnie i dojrzewało, a ci, którzy tak jak ja w miarę pilnie uczyli się w szkole, wiedzieli, że ten czas kiedyś przyjdzie i należy go przeżyć z godnością.

Dziewczęta dojrzewają szybciej niż chłopcy – to hasło zapamiętałem jeszcze z podstawówki i, szczerze mówiąc, zawsze uważałem je za krzywdzące. Moi szanowni koledzy robili wprawdzie wiele, żeby dostarczyć dowodów na jego prawdziwość, ale niesprawiedliwością byłoby przypisywanie ich szczeniackich cech wszystkim młodym mężczyznom, w tym także i mnie. Ja nie świstałem przeciągle, ilekroć prze-

chodziła koło mnie jakaś ładna dziewczyna. Ja nie śmiałem się ze świńskich dowcipów opowiadanych pod prysznicem po lekcji wuefu. Ja nie wygłaszałem głośno zdań typu: „Elka ma fajne cycki”. Nie żeby piersi Elki znajdowały się całkowicie poza zakresem mojego zainteresowania – uważałem po prostu, że każdą istotę ludzką, w tym i koleżanki z klasy, należy postrzegać w całości, a nie redukować do fragmentów, choćby nie wiem jak wartych uwagi. „Gówniarz jeszcze jesteś” – mówili na to moi koledzy. Faktycznie dojrzewali dosyć powoli.

Kiedy w mojej głowie po raz pierwszy pojawiła się wątpliwość, czy wolałbym pograć w FIFĘ, czy porozmawiać z Julką, uznałem, że sprawy przybrały poważny obrót. Temu, że Julka mi się podoba, nie dało się już zaprzeczyć. Kiedy FIFA wydała mi się potworną stratą czasu, który w o wiele przyjemniejszy sposób mógłbym spędzić z Julką, musiałem sam przed sobą przyznać, że jestem zakochany. Ale podobać się i zakochać to dobre dla dzieciaków. Dla dwójki dorosłych ludzi jest prawdziwa miłość i tutaj muszę przyznać, że początkowo miałem pewne wątpliwości. Wiedziałem, że miłość to coś więcej niż przyjemne spędzanie razem czasu. Wiedziałem, że to odpowiedzialność i troska o drugą osobę – pragnienie jej szczęścia, nawet za cenę własnego.

Właśnie co do tego szczęścia nie miałem całkowitej pewności. Nieraz wracaliśmy z Julką ze szkoły. Ponieważ mieszkaliśmy oboje w najdalszej części osiedla, zawsze przychodziła taka chwila, kiedy reszta ekipy rozchodziła się już do swoich domów, a my zostawaliśmy sami. Minutę potrzebną na dojście do furtki Majów miałem więc właściwie zagwarantowaną. Potem czasami udawało mi się zatrzymać Julkę na kolejne chwile jakimś dowcipem, inteligentną uwagą albo błys-

kotliwym pytaniem w rodzaju: „Słuchaj, Julka, co właściwie było zadane z matmy, bo wyleciało mi z głowy?”. Julka stawała wtedy w otwartej furtce, zsuwała plecak z ramienia i opowiadała mi o matmie, pogodzie albo czymkolwiek innym, a ja czułem się bardzo szczęśliwy. Ileż bym dał, żeby tę krótką, wykradzioną chwilę rozciągnąć w nieskończoność i nie pozwolić jej zgasnąć. Mógłbym tak stać na chodniku przed wejściem do domu Julki, słuchać jej głosu i patrzeć jej w oczy choćby do wieczora, choćby do rana, do końca życia nawet!

No właśnie! A przecież Julka mogła być głodna! Mogły boleć ją nogi od tego wystawiania przy furtce! Mogła chcieć poświęcić swój wolny czas na przygotowanie się do klasówki z historii! Oczywiście gdyby się okazało, że Julka woli zjeść zupę niż postać ze mną przy furtce, albo że przedkłada odrabianie lekcji nad moje towarzystwo, byłby to dla mnie cios prosto w serce i jeżeli umiałbym przyjąć ten cios z uśmiechem, udowodniłbym sobie, że to, co czuję do Julki, to prawdziwa dorosła miłość, a nie jakieś tam głupie, gówniarskie zakochanie.

Któregoś dnia, chyba pod koniec drugiej klasy, postanowiłem poddać próbie swoje uczucie i poświęcić dla Julki własne szczęście. Wracając ze szkoły, ostatnie sto metrów – to po odłączeniu się Krzyśka i Roberta – przeszedłem w bardzo szybkim tempie i nawet nie zwoźniłem przy furtce Julki.

– No to cześć! – rzuciłem przez ramię.

Patrzyłem przed siebie, nie odwracałem się, nie próbowałem zatrzymać jej wzrokiem czy choćby nawet myślą. Niech idzie do domu! Niech zje, odrobi lekcje! Nie zamierzałem stać na drodze jej szczęściu, choć sam czułem się nieszczęśliwy. I bardzo szlachetny.

– Poczekaj, Jacek! – zdziwiony głos Julki osadził mnie w miejscu.

Próbowała być miła. Nie chciała mnie urazić tym, że woli zupę ode mnie. Proponowała uprzejmą konwersację. Musiałem zwolnić ją z tego obowiązku, dać do zrozumienia, że zależy mi tylko na jej szczęściu, że moje samopoczucie w ogóle się nie liczy.

– Nie mogę – powiedziałem, przystając na chwilę. – Głodny jestem. Spiesz się do domu.

Wyglądała na lekko speszoną, ale zaraz uśmiechnęła się nieśmiało i powiedziała:

– Mam w lodówce zupę do odgrzania, mogę i tobie odgrzać.

Cały mój szlachetny plan walił się w gruzy. Żeby wybić jej z głowy uprzejmość, wzruszyłem ramionami i burknąłem:

– Może kiedy indziej. Dzisiaj mam kupę roboty.

Odwrociłem się na pięcie i poszedłem dalej. Julka naprawdę mogła już dać sobie spokój i zająć się tym, na co miała ochotę. Cierpiałem straszliwie i byłem już prawie pewny, że chyba ją kocham, kiedy usłyszałem pospieszne:

– Słuchaj, Jacek, co właściwie było zadane z matmy, bo wyleciało mi z głowy?

Westchnąłem ciężko, wróciłem parę kroków, przypomniałem Julce o dwóch zadaniach z książki i pięciu z ćwiczeń, a ona nagle zdała sobie sprawę, że nie pamięta, co było z historii i WOS-u. Wyciągałem z plecaka zeszyt po zeszytcie, mówiłem Julce, co było zadane, a potem jeszcze raz powtarzałem, bo ciągle nie mogła zapamiętać, aż w końcu minęło dziesięć minut, czyli mniej więcej tyle, co zwykle. Julka znowu przez rozmowę ze mną nie mogła zjeść zupy, a moje poświęcenie diabli wzięli i byłem po prostu wściekły.

Idąc do domu, pocieszałem się, że właściwie zrobiłem, co mogłem, żeby poświęcić swoje szczęście, a to, że moje poświęcenie nie zostało docenione, to nawet i lepiej, bo docenienie byłoby nagrodą, a poświęcenie, za które oczekuje się nagrody, wcale nie jest poświęceniem, lecz poszukiwaniem szczęścia, tyle że w dość okrężny sposób. Strasznie skomplikowana była ta cała dorosłość i już mi się wszystko zaczynało plątać w głowie, kiedy nagle coś mnie zastanowiło. „Co właściwie było zadane z matmy, bo wyleciało mi z głowy?” – gdzieś już słyszałem to zdanie. Czyżby Julka...? – przemknęło mi przez myśl, ale natychmiast odgoniłem ten niedorzeczny pomysł. Julka była przecież zbyt inteligentna na tak kretyński podstęp. Widocznie rzeczywiście zapomniała, co było zadane z matmy, choć tak normalnie rzadko kiedy cokolwiek zapominała.

Kiedy mój test na prawdziwą miłość, polegający na rezygnacji z własnego szczęścia, zakończył się z winy Julki bez jednoznacznego rozstrzygnięcia, przypomniał mi się inny genialny sposób na ocenę własnych uczuć. Usłyszałem o nim, czy wyczytałem gdzieś zupełnie przypadkowo, i zawsze sobie obiecywałem, że kiedyś go wykorzystam. Teraz nadarzała się idealna sposobność. Chodziło o to, że w prawdziwej miłości nasza uwaga i uczucia powinny się rzecz jasna koncentrować na ukochanej osobie. Nie chodzi oczywiście o nas samych, tylko o tę drugą ukochaną osobę. Do eksperymentu potrzebne jest zdjęcie, na którym oboje się znajdujemy. Należy możliwie zniemacka spojrzeć na fotografię i sprawdzić, gdzie w pierwszej chwili skieruje się nasz wzrok. Jeżeli spojrzysz na siebie, znaczy, żeś narcyz i samolub, ale jeżeli odruchowo i bez zasta-

nowienia poszukasz wzrokiem tej drugiej osoby – twoja miłość jest szczerą i skierowaną we właściwym kierunku.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się proste, logiczne i łatwe do przeprowadzenia. To były jednak tylko pozory. Już na samym początku pojawił się problem, skąd wziąć zdjęcie, na którym bylibyśmy tylko ja i Julka. Miałem wprawdzie zdjęcie klasowe. Staliśmy w trzech rzędach pod portretem naszego patrona, Williama Szekspira, i każdy robił taką minę, żeby na pierwszy rzut oka widać było pogardę dla ładnego wyglądu, ale żeby jednocześnie ładnie wyglądać. Ja stałem daleko w północno-zachodnim rogu zdjęcia, a Julka zajęła pozycję siedzącą bezpośrednio na wschód od Niewiadomej, naszej matematyczki i wychowawczynie.

Teoretycznie mógłbym testować moją miłość na tej właśnie fotografii, ale uznałem, że to zbyt niebezpieczne. Obawiałem się mianowicie, że przy dwudziestu paru twarzach mój wzrok zupełnie przypadkowo może w pierwszym momencie paść nie całkiem tam, gdzie trzeba. Wystarczyło milimetrowe pudło i pach! – trafiam prosto w Niewiadomą! Makabra! Albo w Williama S.! Albo nie daj Boże we Franka zwanego Hamburgerem – równego gościa skądinąd, ale bez przesady... Sami widzicie, że ryzyko było zbyt duże. Musiałem mieć zdjęcie z samą Julką. Tylko że jak takie zdobyć? Miałem po prostu podejść do Julki i powiedzieć: „Chodź, Julka, strzelimy sobie fotkę!”? Kiepski pomysł. Podkraść się niepostrzeżenie i zdać na refleks wtajemniczonego uprzednio paparazzo? Jeszcze gorzej. Jedyne ratunkiem był fotomontaż.

Klasowe zdjęcie wylądowało w skanerze i zaraz pojawiło się na ekranie mojego komputera. Z trzech rzędów postaci wyciąłem dwa popiersia. Wkleiłem je tuż obok siebie w oddziel-

nym obrazku. Uzyskany w ten sposób portret powiększyłem kilkakrotnie, aż obraz rozdzielił się na poszczególne piksele. Włączyłem drukowanie i czarna czeluść wypluła kolorową kartkę. Złożony z kwadratów nie prezentowałem się zbyt korzystnie. Miałem fryzurę jak ludzik lego i nieco upiorne oczy. Moje dłonie wyglądały trochę jak na zdjęciu rentge... Julka też oczywiście była z kolorowych kwadratów! Ale nie, nie! To nie był jeszcze prawdziwy test. Sprawdzałem po prostu, czy dobrze się wydrukowało.

Prawdziwy test wyglądał inaczej. Usiadłem na krześle przy biurku. Położyłem kartkę na blacie. Zamknąłem oczy i bardzo, bardzo, bardzo się skoncentrowałem, tak aby mój wybór pochodził z najgłębszej głębi mnie. Przez chwilę oddychałem głęboko, a gdy już byłem w odpowiednim nastroju, żeby podjąć najważniejszą decyzję mojego życia, otworzyłem oczy i mój wzrok natychmiast padł na... Kaczora Donalda. Byłem tak zaskoczony, że przez sekundę kompletnie nie mogłem pojąć, co się dzieje. Dopiero chichot Gośki, mojej niezawodnej siostrzyczki, przywrócił mi świadomość:

– Zjeżdżaj stąd natychmiast! – ryknąłem wściekle.

Czułem się tak, jakby wtargnęła do łazienki, kiedy brałem prysznic.

Gośka zrobiła obrażoną minę, zabrała zeszyt z Kaczorem Donaldem, a przy okazji niechcący strąciła z blatu moje doświadczone zdjęcie.

– O! Co to jest? – zaświergotała i schyliła się, żeby podnieść je z ziemi.

– Nic dla ciebie, smarkulo! – warknąłem i wyszarpałem jej kartkę.

– To chyba Julka, tak? – drążyła niezrażona.

– Srulka, kretyńko! – odparowałem błyskotliwie i nie wiem, czy bym jej nie trzepnął, gdyby nie czmychnęła przez drzwi i nie poszła poskarżyć się mamie, że nie chcę jej pomóc w matmie.

Odczekałem chwilę, aż burza ucichnie, zamknąłem drzwi i powróciłem do eksperymentu. Ponownie usiadłem przy biurku. Zamknąłem oczy, poszukałem skupienia i otworzyłem jedno oko, żeby się przekonać, czy znowu nie nastąpiła podmiana. Ale nie – było zdjęcie, a na nim ja i Julka... To znaczy Julka i ja! Z powrotem zamknąłem oczy. Zacząłem odliczanie: trzy, dwa, jeden, teraz! Mój wzrok padł na łączenie pomiędzy zdjęciami, lekko zawadził o moje lewo ucho, po czym w ułamku sekundy przesunął się na Julkę. Serce zabiło mi mocniej i prawie już się wzruszyłem, kiedy odezwał się rozsządek i zasiał wątpliwości. Bo jednak przecież w ostatniej chwili nastąpiło przesunięcie! Czy to na pewno się liczy? Powtórzyłem test jeszcze trzykrotnie i za każdym razem trafiłem prosto w Julkę. Tylko że do tej pory zdążyłem już zapamiętać, że Julka znajduje się po prawej stronie zdjęcia i tam właśnie za każdym razem kierowałem wzrok.

Sam przed sobą, aczkolwiek niechętnie, musiałem przyznać, że to nie było do końca fair. Czułem, że powinienem sam siebie wziąć z zaskoczenia. W tym celu wydrukowałem jeszcze dziesięć takich samych obrazków i rozwiesiłem je na ścianach, regałach, zasłonach i w kilku innych miejscach. Stałem na środku pokoju, zamknąłem oczy i zacząłem się kręcić dookoła. Kręciłem się, kręciłem, kręciłem i wreszcie – stop! Oczy otwarte, gorączkowe poszukiwanie najbliższego zdjęcia i pach! – Julka! Trafiona, zatopiona! Dla pewności powtórzyłem badanie i znowu Julka! Za trzecim razem też. Zamiast

jak kto mądry wyciągnąć odpowiednie wnioski i na tym sprawę zakończyć, spróbowałem jeszcze raz i tym razem trafiłem prosto w swój własny nos. No to spróbowałem znowu i znowu samobój! Za szóstym razem padło na Julkę, za siódmym na mnie. Potem znowu Julka, Julka, Julka, ja, ja, Julka, ja. Kiedy było 7:6 dla Julki, do pokoju weszła mama.

– Chodź na kola... – zaczęła i stanęła jak wryta. – A czym ty sobie oblepiłeś pokój?

W głowie mi się kręciło, czułem, że się czerwienię, a i tak o dziwo udało mi się zachować zimną krew.

– E tam, takie ćwiczenie – wypaliłem, licząc, że to załatwi sprawę.

Nie załatwiło, więc brnąłem dalej. Swoją drogą to niesamowite, jak czasem w krytycznych sytuacjach potrafimy się wznieść na wyżyny sprytu i pomysłowości. To, co stworzyłem, było – tak mi się w każdym razie wydawało – arcydziełem sztuki ściem i wykrętów.

– Chodzi o koordynację pilotów myśliwców – wyjaśniłem i mało się przy tym nie zakrztusiłem. – Samolot wpada w korkociąg, nie? Spada na ziemię, wirując ze straszliwą prędkością. Pilotowi kręci się w głowie, ale jeżeli uda mu się wyprowadzić maszynę z korkociągu, musi umieć błyskawicznie skupić wzrok na punkcie orientacyjnym, rozumiesz?

Mina mamy raczej na to nie wskazywała.

– Tak samo ja – ciągnąłem. – Obracam się w koło, aż mi się zakręci w głowie. Potem się zatrzymuję i błyskawicznie szukam wzrokiem mojego zdjęcia. Kolacja jest, tak?

– Ale to nie jest tylko twoje zdjęcie. – Mama patrzyła na mnie z coraz większą podejrzliwością.

– Nie? – bąknąłem i zmrużyłem oczy, żeby się lepiej przyrzyć. – A, rzeczywiście! – przyznałem. – Julka z mojej klasy wepchnęła się przed aparat. Ale to jeszcze lepiej dla pilota, bo ma utrudnione zadanie.

Mama uśmiechnęła się dziwnie, jakby w ogóle nie rozumiała, że wejście w korkociąg jest dla pilota śmiertelnie niebezpieczne, i wychodząc z pokoju, powiedziała wesoło:

– Przyjdź na kolację, jak tylko wylądujesz.

Odetchnąłem głęboko i pomyślałem, że tak właśnie musi czuć się pilot, któremu na sekundę przed rozbiciem maszyny udało się katapultować i, opadając wolno pod wielką czaszą spadochronu, z powrotem wita się z życiem. Z kuchni słyszałem brzęk rozkładanych sztućców i głośne gadanie mojej siostry.

Jeszcze jeden, ostatni raz – powiedziałem do siebie w myślach. – Teraz już naprawdę decydująca próba.

Po raz ostatni zamknąłem oczy. Po raz ostatni zawirowałem. Po raz ostatni ziemia zafalowała mi pod stopami. Trzy-czter-y! Stałem, spojrzałem, trafiłem. Julka! Teraz już mogłem zejść na kolację.

Kiedy siadałem przy stole, miałem wrażenie, że wszyscy jakoś dziwnie na mnie patrzą. Sprawdziłem po kolei, ale zdążyli uciec wzrokiem i każde w straszliwym skupieniu smarowało masłem swoją kromkę chleba. Moja siostra parsknęła śmiechem, ale tata zgromił ją wzrokiem i na chwilę zapanowała cisza.

– Możesz powtórzyć, jak ma na imię? – nie wytrzymała w końcu mama.

– Kto? – burknąłem ze złością.

– No ta, która się wepchnęła.

Tym razem tata prawie się nie roześmiał, a ja poczułem, jak ogarnia mnie wściekłość.

– A co to, przesłuchanie? – wrzasnąłem i wałnąłem ręką w stół, aż podskoczyły talerze. – Julka ma na imię! Macie coś przeciwko temu? Bez przerwy się mnie czepiacie!

– Ależ syneczku! Nikt się ciebie nie czepia – powiedziała mama, zdziwiona moim nagłym wybuchem. – Po prostu jesteśmy zaskoczeni.

– Zaskoczeni? Czym? – nie przestawałem krzyżeć. – Przecież mam już prawie piętnaście lat!

– No tak, ale nigdy nie mówiłeś, że chcesz zostać pilotem – odpowiedział tata z miną niewiniątka i tym razem już wszyscy zaczęli chichotać.

Tego było za wiele! Wstałem od stołu, poszedłem do siebie i trzasnąłem za sobą drzwiami. Przez jakieś piętnaście minut nienawidziłem wszystkich poza Julką, a potem przestałem, ale tego wieczora nie zszedłem już na dół. Leżałem po ciemku w łóżku i zastanawiałem się, co mam powiedzieć, kiedy którejś pięknej nocy znajdę się z Julką sam na sam pod rozgwieżdżonym niebem, spalę za sobą wszystkie mosty i nie będę miał już odwrotu, a ona zapyta:

– No to o co chodzi?